

Tadeusz Makowiecki

Leon Śliwiński

Pamiętnik Literacki : czasopismo kwartalne poświęcone historii i krytyce literatury polskiej 36/3-4, 387-390

1946

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

LEON ŚLIWIŃSKI

Leon Śliwiński, przez matkę związany z rodziną Siemieni-
skich (siostrzenica profesora Siemieńskiego), przez ojca, Ste-
fana, doktora medycyny, ze Śliwińskimi (bratanek Artura),
wyrastał w atmosferze równie intelektualnej, jak patriotycznej.
Urodzony na Podolu w Sobolówce (10. VII. 1902), miał w syl-
wetce swej jakieś rysy kresowe, widoczne nie tylko w tym
okresie, gdy nosił opadające włosy, ale przebijające się przez
zarys czoła i nosa wydatnego, przez oczy ciemne, niespokojne,
żarzące, choć prawie zawsze okryte mgłą smutku. Mało-
mówny, zamknięty w sobie — nie był jednak skryty czy tajem-
niczy. Po prostu sprawy osobiste były dlań absolutnie nie-
ważne, nie istniały. Nie tylko dlatego, że o nich nigdy nie mó-
wił, nie wspominał, a zapytany ucinał temat sakramentalnym
zwrotem: „wszystko doskonale“. Takim samym był w postę-
powaniu czy projektowaniu. Nigdy w planie prac, zebrań, ter-
minach robót, których się podejmował, nie było znać śladu li-
czenia się ze sprawami osobistymi. Urlop, choroba w domu,
prywatne prace naukowe czy zarobkowe — o nich nigdy nie
wspominał, nie istniały w kalendarzu zajęć i konieczności,
stały na niewidocznym dla nikogo marginesie późnych wieczó-
rów, wczesnych świtów i urywanych, kwadransowych skraw-
ków dnia. Rzadko kto wiedział, że miał rodzeństwo, matkę,
żonę, córkę i że naprawdę — mimo wszystko — poświęcał im
wiele czasu.

Zawsze był gotów oddać dobrej sprawie nie tylko każdy
odcinek swego czasu, ale i swą osobę — równie bez zastrze-
żeń. Nie istniały dla niego kwestie ambicyjne czy prestiżowe,
bo — jako osobiste — istnieć nie mogły. Brał każdą potrzebną
robotę, nigdy zaś t. zw. stanowiska. Bywał organizatorem, se-
kretarzem, referentem, autorem dziesiątków bezimiennych
memoriałów, statutów, kronik, sprawozdań.

Wciągnięty przez St. Michalskiego do Min. Oświaty, póź-
niej do redakcji „Nauki Polskiej“, wreszcie do Funduszu Kul-
tury Narodowej, był niestrudzonym ich pracownikiem, będąc

sprężyną setek 1 tysięcy spraw, podejmowanych przez Fundusz i jego dyrektora, sprężyną setek zebrań i konferencji z organizacjami naukowo-społecznymi, a także komisji sejmowych, posiedzeń komitetów międzyministerialnych i t. p. Przez lat 14 miał zawsze czas dla wszystkich, nigdy — dla siebie. Stypendia, zasiłki, pożyczki, urlopy płatne, subwencje wydawnicze były dla wszystkich, dla siebie — nigdy nawet najbliższego ułatwienia, nawet odległego od funkcji spełnianych.

Na zebraniach, konferencjach nigdy nie mówił „od siebie“, zawsze albo w imieniu instytucji, albo cytując sądy innych, albo w zupełnie bezosobistej formie przedmiotowych stwierdzeń. Stąd styl miał oschły, bezbarwny, „urzędowy“. Zdań typu: „ja sądzę, uważam, według mego zdania“ publicznie nie używał. Tylko w kole bliskich czasem, na marginesie zebrań, wybuchł ostrymi uwagami, dając dziesiątki argumentów, które świadczyły, jak własny, indywidualny i przemyślany był jego wkład do różnych zagadnień. Ale publicznie — to wszystko było nieważne; ważny był paragraf, uznana zasada, pozycja planu, zgodność z już uzgodnionymi kwestiami — a nie osobiste zapatrywania.

Poza pracą organizacyjną i urzędową zajmowała mu dużo czasu praca pedagogiczna, gdyż jednocześnie przez lat dziesięć zgóra wykładał w gimnazjach warszawskich jako polonista. Bardzo wymagający od siebie, potrafił wymagać od innych; ale wobec młodzieży miał nie tylko surowość, ale i łagodny, żartobliwy uśmiech, który miał także dla najbliższych. I tylko dla nich.

W pracy naukowej tak samo krańcowo nie dbał o własne ambicje i interesy, nawet o zadowolenie. W 20-ym roku życia został prezesem dużego Koła Polonistów Uniwersytetu Warszawskiego, które oddawało się dotąd głównie własnej twórczości literackiej; zreorganizował pismo, założył liczne sekcje, dzięki sekcji odczytowej zdobywał fundusze na wydawnictwa, zostając następnie współredaktorem I-go „Rocznika Koła“ oraz broszury „Co czytać“, przechodząc ku szarym, ale bardzo realnym robotom historyczno-literackim. Pracę seminaryjną napisał o Antonim Góreckim, doktorską — o czasopiśmie „Demokrata Polski“ w latach 1837—42. Charakterystyczny jest wybór tematów, nieefekownych, nie dotyczących sławnych osobistości, ale wypełniających luki w naszej wiedzy. Napisał też sporo recenzji, np. o korespondencji J. Śniadeckiego („Ruch Literacki“ 1933), o sejmowym wydaniu pism Mickiewicza („Polska Zbrojna“ 1936) oraz mniejsze o listach Kasprowicza, Orzeszkowej i in. W nieefektywnej robocie recenzenta był równie dokładny i rzeczowy, jak w kilku przyczynkach (m. in. o Kraszewskim). Jednocześnie przez szereg lat zbierał materiały do planowanych przez siebie „zasadniczych“ prac o Lelewelu

i Mochnackim, a także Henryku Kamieńskim. Nigdy jednak nie mógł opracować swych notat; nie miał czasu. Z wciąż wzrastającą więc niecierpliwością zaczyna traktować swe prace urzędowe. Właściwą bowiem, choć ukrytą jego pasją była historia literatury; raz po raz „przeżywał“ nowe problemy, miał wielki dar spostrzegania zagadnień historyczno-literackich, rościło mu się od pomysłów i planów różnych wydawnictw indywidualnych i zbiorowych, robił krótkie notaty, namawiał do roboty innych, podsuwał materiały, wyciągi bibliograficzne, przeglądał liczne zapomniane czasopisma XIX wieku.

Po katastrofie wrześniowej 1939 wraca do Warszawy — już bez obowiązków urzędowych. Zato widzi się go codziennie przez pierwszą zimę wojenną, w jesionce koło wózka z książkami, przeważnie — własnymi. Prowadził pierwszy wówczas w Warszawie uliczny antykwariat, wyłącznie naukowy. Milczący, starannie okrywa płachtą książki, zbierane przez długie lata; zbieractwo to należało do jego namiętności. Później przez półtora roku był kierownikiem Centralnej Kartoteki Rady Głównej Opiekuńczej, pracując po 12 godzin na dobę, w okresie największego znaczenia R.G.O. W roku 1942 wycofuje się z tej instytucji i pracuje zarobkowo tylko u B-ci Jabłkowskich, jako archiwariusz akt firmy. W tym okresie pisze biografię założyciela firmy Józefa Jabłkowskiego, przedstawiciela gospodarczego pozytywizmu warszawskiego z lat 1870—90.

Jednocześnie wchodzi w podziemne życie walczącej Warszawy, obejmując coraz ważniejsze funkcje. O typie prac można się było czasem przekonać z wypożyczanych lub kupowanych książek, a także z rękopisów, które zostawił. Jeden to „Myśl polska w zaborze rosyjskim między 1831—63 r.“, drugi, obszerna książka „Nauka i jej rola w życiu narodu“, opracowywana wspólnie ze St. Michalskim. W tymże czasie z pełnią gorzkiej świadomości zaczął wyprzedawać swe kolekcje książek polonistycznych, specjalizując swój księgozbiór wyłącznie w zakresie dziejów nauki i jej organizacji. Rozumiał, że po takiej długiej przerwie do nauki już nie wróci. Zato w robotach konspiracyjnych pogrążał się coraz głębiej, stale ofiarowując nie tylko czas swój i siły — jak i dawniej — ale także życie własne i życia najbliższych. Uprzednie jego prace, charakter i zdolności tworzyły z niego niemal klasyczny typ podziemnego człowieka Warszawy wojennej. Zamknięty w sobie, powściągliwy w słowach i czynach, a oddany bez zastrzeżeń i bez reszty, chłodny zewnątrz, gorący wewnątrz, zaciekły i nieugięty, znający bardzo wielu, sam prawie nieznanym, szary, niezauważalny, bezimienny, surowy i dokładny, był prawdziwie — jednym z nieznanym żołnierzy tych lat.

Po wybuchu powstania warszawskiego aresztowany

w domu na ul. Kieleckiej, później z grupą mężczyzn pędzony przez Niemców w ataku przed tyralierą i czołgami, zginął od kuli polskiej na Polu Mokotowskim, 15. VIII. 1944. Pochowany w pobliskim ogródku, przeniesiony został po 8-u miesiącach do grobu Śliwińskich na Powązkach. Większość jego rękopisów spłonęła razem z książkami.

Tadeusz Makowiecki
